Nr. 21. Lwów, 1 listopada 1899. Rok XXII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

NA RYKOWISKU

w Karpatach.

Przez

ARTURA hr. SUMIŃSKIEGO.

Szczytem moich marzeń myśliwskich było spotkanie jelenia karpackiego w jego dziewiczej kniei. — Dzisiaj szczytu tego dosięgnąłem i jeżeli powiem, że polowanie to przeszło wszelkie moje oczekiwanie, to obawiam się, że jeszcze za mało powiedziałem. Cóż to jest jeleń na równinie, na Szląsku, w Księstwie poznańskiem, w Prusach wschodnich, to wszystko są skarłowaciałe postacie tego typu i pratypu potężnego rogala Karpat. — Nieraz słyszałem, jak niedźwiedzia stawiano przed jeleniem; zapewne, że jest on najpoważniejszą naszą zwierzyną i polowanie na największego tego naszego drapieżnika łączy się niekiedy z niebezpieczeństwem życia — ale czyż może być piękniejsze polowanie, jak na tego monarchę naszych gór? Tu nie ma wygódek, nie ma naganki, nie ma krzesełek ani ekwipażu do podjazdu, nie, to trudy myśliwskie w całem tego słowa znaczeniu, człowiek często dzień cały w usta nic włożyć nie może, jeżeli z sobą posiłku do kieszeni nie zabierze, a gdy z pagórka na pagórek przyjdzie się pionowo na dół przedrapać przez maliniaki i poblitą

knieję, często zawaloną złomami, w dole po kamieniach przebyć potok, a potem znów drapać się pod górę, to pot rzęsisty kroplami na czoło wystąpi i tchu nieraz zabraknie. — A tu jeleń ryczy za następnym pagórem i jedna gałąź, która głośniej pod stopą pęknie, niweczy całą pracę jednym zamachem. — Jeleń albo ucichnie i pójdzie hen daleko, albo zacznie ałkać, jak sarnik spłoszony i po wszystkiemu.

A mimo tych trudów i niewygód, wieluż to braci z pod sztandaru św. Huberta spieszy w te góry i na te niewygody, aby usłyszeć, lub widzieć, jak potężny rogal na polanach, wśród dziewiczej kniei idzie w tan lub bój w imię swej dzikiej miłości.

Przybywszy na miejsce uraczeni zostaliśmy doskonałym obiadem, ostatnim przed wyprawą. Wtajemniczeni, dzięki wyborowej uprzejmości pana L., za pomocą mapy w granice pola działania, ruszyliśmy do kniei, a za nami tabor z naszymi środkami do życia i niezbędnymi pakunkami. Powoli, powoli wydrapaliśmy się do schroniska, gdzie mieliśmy spędzić tydzień pełen wrażeń i uczuć wśród przepysznej natury. Przebraliśmy się natychmiast, a dostawszy po przewodniku, pociągnęliśmy na supełki, która knieja komu przypada i ruszyliśmy w górę. Niestety deszcz potężny tak tłukł po liściach, że nic usłyszeć nie można było, a ściemniło się w dodatku bardzo prędko. — Powrót do koleby, a raczej schroniska był bardzo niewygodny po oślizgłym terenie, ale bardzo malowniczy. — Przedemną spieszył huculł, niosąc w ręku pęk suchych gałązek świerkowych, który zapalony oświetlał drogę i znaczył ją sypiącemi się iskrami. — W potokach odbijało się to, jak w zwierciedle i nader malowniczo wyglądało.

Schronisko nasze, gdzie już zastałem towarzysza, i Marcina, naszą „Mädchen für alles," który gotował zawzięcie ryż na bulonie i który, mówiąc nawiasem, doskonale się wywiązywał z zadań kucharskich (szczególniej forsą jego był kompot z brusznic), leży nad potokiem; przed schroniskiem polana, poryta przez dziki, może przez zgrzybiałego odyńca, który tu szukał strawy na nocnej wycieczce.

Pożywiwszy się, udaliśmy się na spoczynek. Spaliśmy na sianie, wiatr, który się zerwał i dzięki któremu mieliśmy nazajutrz przepyszną pogodę, powiewał przez obfite szczeliny schroniska, a potok za schroniskiem szumiał, syczał, mruczał, chwilami ryczał i huczał, podskakując rączym biegem i unosząc srebrzyste, przeźrocze fale po kamiennem łożysku aż hen! — A huculy chrapali, jak dziki.

Jeszcze gwiazdki złociste migały na lazurze niebios, kiedy już byliśmy w drodze.

Że dróg tam nie ma, że prócz sowy uralskiej, czasami puhacza, lub orła skalnego, miejscami jarząbka, nikogo w tej kniei nie spotkasz, tego opisywać nie potrzebuję. — Sarny są, lecz rzadko i są bardzo ostrożne. Spotkałem sarnika dobrego szóstaka z sarną, ale zaledwie raczyłem mu się przypatrzeć! Prawda, wszakże jest tam komunikacya, są ścieżki, po których się chodzi, a wiesz kto je wydeptał — jelenie. — Że na tych ścieżkach leży kłoda zmurszałego świerka, lub buka, to nic, bo choć jeleń przechodząc przez nią niedbale zapadł się aż do dna swoim ciężarem, człowiek się przez niego przeprawi. Gorsze są ogromne pokrzywy, maliniaki i ostrężyna. Trzeciego dnia posuwałem się powoli taką ścieżką, gdy raptem rozległ się potężny ryk jelenia. — Zrobił na mnie ogromne wrażenie ten ryk jakby odgłos organu, a potem basowy pomruk — trząsłem się, jak liść i gdybym był w tej chwili jelenia widział, byłbym go niezawodnie z emocyi chybił. Zacząłem ostrożnie ku jeleniowi się zbliżać, lecz cóż, pomrukiwał tylko i podsuwał się coraz to dalej, tak, że po niejakim czasie cofnąłem się, nie chcąc go spłoszyć. — Tak kilka dni spełzło na niczem, słyszeliśmy tylko dalekie pomrukiwania, lub wysoki ton organowy, ale spotkania nie było. — Jednego dnia, gdyśmy powracali do schroniska, zeszły się nasze drogi i widzieliśmy z towarzyszem na odległość 200 może kroków dwie łanie i byka, w szalonym pędzie z łoskotem uciekających, ale ani „fangszus" ani kilometrówka nie były do zaaplikowania. Zresztą niepewny strzał do takiej zwierzyny, to grzech. Przybywszy do schroniska urządziliśmy sobie wspaniałą, odświeżającą kąpiel w potoku, potem drzemka, zaimprowizowany obiad i znów w góry. — Wieczorem wielkie narady z hucułami, plany i zasięgania wiadomości na jutro co do aury.

Mój przewodnik, Fedor, nie był orłem, ale minę miał poczciwą i sympatyczną. Miałem dla niego rodzaj szacunku dlatego, że miał ogromną bliznę na karku i grzbiet podrapany przez rysia, który złapany w żelazo, wylazł zaraz na drzewo i stamtąd skoczył na niego. Jak opowiadał, duszę miał na ramieniu, bo nawet nieodstępnej siekiery nie miał w ręku. — O ile Fedor był gadatliwy i przyjacielski, o tyle Semen, przewodnik mego towarzysza nie był sympatyczny, ale za to miał sławę „rabszyca" kłusownika i minę miał po temu.

Tak nadszedł 24 wrzesień. Ruszyłem po południu do rewiru, chmurki się zbierały na horyzoncie i nadzieja usłyszenia dobrze ryczącego, powiększała ochotę, przyspieszała chodu. — Fedor miał plan wspaniały, ale mu go skrzyżowałem moim projektem, że sam posuwać się będę ostrożnie po ścieżkach jelenich dziś inną stroną, gdyż wiatr się zmienił, a on miał postępować z dala. — Że chodzę doskonale, wyprzedziłem go porządnie, ale nadszedłszy na zwalone kłody, złomy i wywroty, nie mogąc iść dalej, zaczekałem na niego. — Cisza poważna była dokoła, raz po raz dzięcioł kuł po korze, to znów rój sikorek podążał pracowicie z gałęzi na gałąź, poświerkując, a tu mego Fedora ani widać. Zacząłem hopkać, gwizdać nic. — „A myślę sobie, ładna historya zabłądziłem." W celu wydostania się i zoryentowania, zacząłem się drapać w górę, a wylazłszy na szczyt, słyszę tam gdzieś w dole wyraźny ryk jelenia, długo, ciągle, bez przerwy. Serce biło, jak młotem, wsłuchałem się raz jeszcze, aby się echem nie zbałamucić, i zacząłem pędzić w stronę przepysznej muzyki. — Sztuciec mój, zresztą ciężki dubeltowy, nigdy mi tak lekkim nie był, jak wtedy, nie czułem go zupełnie.

Dostawszy się do potoczku, zacząłem nim ku głosowi się zbliżać, a emocyę miałem taką, jak nigdy w życiu. — Potężny król karpacki ryczał doskonale, przerwy były krótkie, podczas których odpoczywałem z natężonym z całych sił wzrokiem i słuchem. — Znów głos organu, a potem basowy pomruk i znów zbliżam się ku niemu, aż nareszcie doszedłem do jaśniejszego miejsca, zarośniętego maliniakami i krzewami. W tej

chwili ujrzałem przed sobą na strzał, ogromny wieniec rogów, kołyszących się w powietrzu, z białemi, świecącemi odnogami. — Upadłem na kolana przy olbrzymiej jodle, aby się zakryć i obserwowałem ten wieniec, który z poza gąszczów w różne strony świata się zwracał, jakby w takt do muzyki. Nie mam słów na opisanie mego wzruszenia, a gdy jeleń poruszył się naprzód i pokazał mi najpierw wierzch głowy, potem cały wieniec, nareszcie głowę i szyję, febra moja się zwiększyła, dech zamarł w piersi. — Złożyłem się kilka razy, lecz tak byłem poruszony jeszcze, że o strzelaniu i mowy być nie mogło. Nareszcie posunął się jeszcze wyżej i wtedy pokazał mi trochę łopatki. Teraz albo nigdy — złożyłem się raz jeszcze, już znacznie uspokojony i wytrzymawszy dokładnie, strzeliłem

Gdyby piorunem rażony wspiął się w górę, jak koń niesforny, a potem szalonym pędem wpadł w maliniaki i stanął. Zamiast stać spokojnie, poskoczyłem ku niemu i doszedłem na kilkanaście kroków. Przez gąszcze złożyłem się do niego i w chwili ściągnięcia cyngla, czy mnie zobaczył, czy miał jeszcze się posunąć, skoczył w strzale. — Zwalił się w potok; jeszcze trochę łomotu, jakby za potokiem i cisza. Znów febry dostałem i dopiero opamiętałem się, słysząc za potokiem, jakby grzebanie w jednem miejscu i jakby rzucanie się. Ostrożnie poszedłem na strzał. — Tu znalazłem dużo ciemnej farby, odetchnąłem i począłem oglądać się za jodłą, aby sobie wyszukać złomka za kapelusz. — Wtem gdzieś z góry, z daleka dochodzą mnie głosy Fedora, który nawołuje i pospiesza na strzały. — Drugi mój strzał był niepotrzebny, widząc jednak jelenia stojącego, a obawiając się, że może jeszcze pójdzie daleko, a tu szukanie, to szalona trudność, zdecydowałem się na niego. — Nie odezwałem się jednak poczciwemu Fedorowi, a gdy ujrzałem jego białą sylwetkę począłem machać chustką. Przybiegł też wkrótce, a gdy mu zwróciłem uwagę na hałas za potokiem i ukazałem farbę, ucieszył się niekłamaną radością. — Chciał tam zaraz podążyć, alem go nie puścił. Wytrzymałem go 20 minut według zegarka, dłużej sam nie mogłem, już też zaczęło się ściemniać i posunęliśmy się ostrożnie za potok.

Wysunąwszy się z za świerka, zobaczyłem obraz, który popamiętam, jak żyć długo będę. Na 20 kroków przedemną leżał wspaniały jeleń — głową wraz z wieńcem jeszcze poruszał, ale była to już agonia. Potężne rogi czternastaka raz jeszcze drgnęły, szyję wyciągnął i skończył. Skoczyłem do niego w trzech susach, a opisać moich uczuć i mojej radości nie potrafię. Przypuszczam, że mój Fedor musiał chyba myśleć, że zwaryowałem. — Sędziwy ten starzec leżał teraz przedemną wyciągnięty a ja usiadłem na nim i podziwiałem wieniec. — Pomiary dokonane w domu tak się przedstawiają. Prawy pień 1·17 cm. lewy 1·15. Rozpiętość 91 cm., objętość róży 26 cm., lewej 27. Długość odnogi ocznej 46, lewej 47 cm. Nie posiadał on już ani jednego zęba w szczęce dolnej, a niestety i brak mu było w górnej, tak że jeden tylko grandel stał się moją pierwszem z tego jelenia trofeum.—Podziękowawszy św. Hubertowi za tak wspaniały dar, nie mogłem się napatrzyć sztywniejącemu już olbrzymowi. — Odesławszy Feodra z językiem do schroniska, zostałem sam w tej puszczy z mą zdobyczą. Ciemność spadała na ziemię, a z nią deszczyk zaczął pokrapiać. Mimo tego nie nudziłem się bynajmniej, rozmyślając o nieporównanych wrażeniach dzisiejszego dnia. — W dobrą godzinę później usłyszałem głosy i nawoływania, które na moje odpowiedzi się zbliżały, aż nareszcie nadeszli mój kochany szwagier i towarzysz z Semenem, których tu przywiódł Fedor. — Radość, rozczulania, gratulacye, podziw krzyżowały się na przemian i jeszcze raz już przy świecy odbyły się oględziny rozkładu. — Kula pierwsza wpadła nad łopatką koło karku i siedziała pod skórą na łopatce z drugiej strony — druga niepotrzebna w szynkę (w chwili skoku) przeszła na szagę wewnątrz ku pęcherzowi. Za późno już było na transport, więc pożegnawszy się z jeleniem ruszyliśmy do schroniska, ja opowiadając, mój szwagier stawiając tysiąc pytań. — Przed nami truchcikiem biegł hucuł z zaimprowizowaną pochodnią.

Jeszcze wieczorem znać dano do wsi, o kilka kilometrów odległej i obstalowano ludzi do transportu jelenia. — Gdy zbudziłem się po spoczynku zasłużonym wczesnym jeszcze rankiem, ciemno było. — Ruszyliśmy też wkrótce każdy w swoją stronę, a ja przechodząc koło rewiru mego szwagra usłyszałem niedaleko na jakie 500 kroków, silnie porykującego jelenia. — Tentacya była ogromna, a po dobrej chwili walki moralnej ze sobą, ruszyłem dalej. Dzisiejszy mój rewir był dzikszy i mniej przystępny, jak wszystkie dotąd poznane, a gdybym był tu zabił jelenia, mógłbym był najwyżej rogi i skórę zabrać, bo nawet i mowy być nie mogło o transporcie mięsa. — Tak dziko i niedostępnie. — Słyszałem daleko dwa jelenie w przeciwnych stronach, które porykiwały tylko z oddali, jakby heroldowie, którzy oznajmiali tej puszczy, że poległ potężny król karpacki.

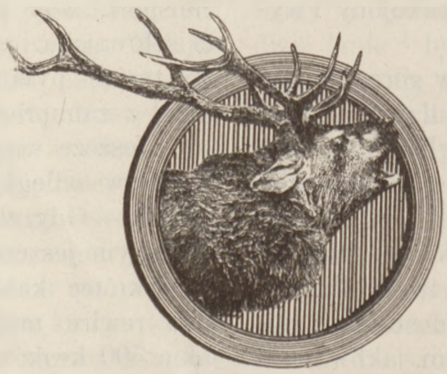
Około drugiej dopiero nadeszli ludzie i z niemi ruszyłem do rozkładu. — Tu jeleń mój został obielony, rogi odcięte, a mięso poćwiartowane i na kijach zniesione w kawałkach na dolinę. — Wszystkiego jednak zabrać nie zdołano i dwa mniejsze kawały zostały, po które powrócić mieli. — Ja tymczasem ruszyłem w dalszą knieję, a mój przewodnik stracił się na chwilę, na co zupełnie uwagi nie zwracałem. Gdym wieczorem powrócił do schroniska, opowiadał mi Marcin, że dużo tu być musi, dzików, wilków, i lisów, bo gdy ludzie poszli po zostawione mięso, już i śladu z niego tam nie znaleźli. — We drzwiach schroniska za plecami Marcina wyłonił się z cienia Fedor, a zrobiwszy arcypocieszną minę wyrzekł: „lis, to ja“ i roześmiał się serdecznie.

Tak ryczącego wspaniale jelenia, jak mój czternastak, już nie słyszałem, a że mój szwagier i ja słyszeliśmy prawie codzień jeszcze jelenia porykującego tylko w oddali, czuliśmy, że koniec prześlicznego rykowiska się zbliża. Podchodzić takiego jelenia próbowaliśmy, lecz cóż to za trudne zadanie, a skutek prawie niemożliwy. Jeleń ciągnie, ryknie i znów ciągnie, człowiek podąża za nim po tych wertepach po omacku, że tak powiem, bo podczas milczenia odsunie się on na trzeci pagórek, albo zmieni kierunek, porykując, co pół godziny, lub dłużej nawet milczy.

Zapakowawszy manatki ruszyliśmy, żegnając się tęsknie, z tą piękną knieją, do kolei. Znów między ludzi!

Nie można sobie wyobrazić więcej majestatycznych i poważnych ruchów, ale nie można chyba sobie wyobrazić więcej działającego głosu na człowieka, jak ryk karpackiego jelenia. — Waga mojego szacowana na oko przez bardzo wytrawnych i doświadczonych myśliwych była w domniemaniu około 250 kilo.

Jest to najpiękniejsze polowanie jakie znam, bo nietylko zwierzyna wspaniała, nie tylko sposób polowania ponętny, bo wymaga szalonej ostrożności, bo nie łatwy i trudzący, ale i nagroda godna trudów. Wszak zwierz ten majestatyczny nie po laskach rezyduje, ale w kniejach milowych. Kolosalne przestrzenie dziewiczych prawie lasów, góry i wertepy niedostępne prawie — tam jego państwo. — A otoczenie! Czyż mogę pominąć tę rozmowę natury, ten szum potoków przeźroczych, jak kryształ, w których pstrąg marząc w słońcu, jak piorun wpada pod kamień, zoczywszy niezwykłego tu gościa człowieka. Te potężne świerki, te jodły wystrzeliste i barwne stare buki, przybrane już w szatę jesienną, a tyle krasy nadające krajobrazom leśnym! — A teraz rozmowa tego lasu w tej głuchej ciszy, tych istot tam żyjących, czyż to nie zachwyca? Trzeba się wsłuchać i poznać, aby odczuć i pojąć czary takiej kniei i podziwiać te cuda, stworzone tylko ręką Boga.



Wskazówki dla mających zamiar sprowadzić zające do rozpłodu.

Ciąg dalszy.

„Do ogródka przeznaczone zające powinny być młode, 3-miesięczne, gdyż te łatwiej się przyzwyczają; jeżeli się starsze zające wpuszcza, to może się to stać tylko wtedy, jeżeli w zajęczarni znajduje się remiza; jeżeli remizy nie ma, niepokoją się zające zbytecznie, biegają ustawicznie i wydeptują prawie ścieżki w około ogrodzenia; ginie ich wtedy zwykle znaczna część. W każdym razie potrzeba ze 3 miesiące, aby się zające uspokoiły zupełnie i poczęły się mnożyć. Jeżeli się więc wpuszcza stare zające, osobliwie do zajęczarni o małych rozmiarach, nie należy wymagać, aby już po miesiącu miały młode; rezultat będzie dobry, gdy to po trzech miesiącach nastąpi. Woda nie jest potrzebną, gdy zające mieć będą zieloną paszę, której w zajęczarni właściwie nigdy braknąć nie powinno. Zawsze jednak lepiej jest, gdy wody nie brak, potrzeba jej konieczną staje się wtedy, gdy z zajęczarnią połączona jest bażantarnia. Zalecałem dawniej dla 10 samic przeznaczać 2 gachy, byłoby to wystarczające, gdyby wszystkie gachy równie dobrze do rozpłodu się nadawały. Gdy tak jednakże nie jest, radzę lepiej użyć trzech gachów, a gdyby się okazało później, że ich jest za wiele, można zawsze jednego odstrzelić.“



Zdjęcie Art. br. Sumińskiego.
Do art. „Na rykowisku w Karpatach.“

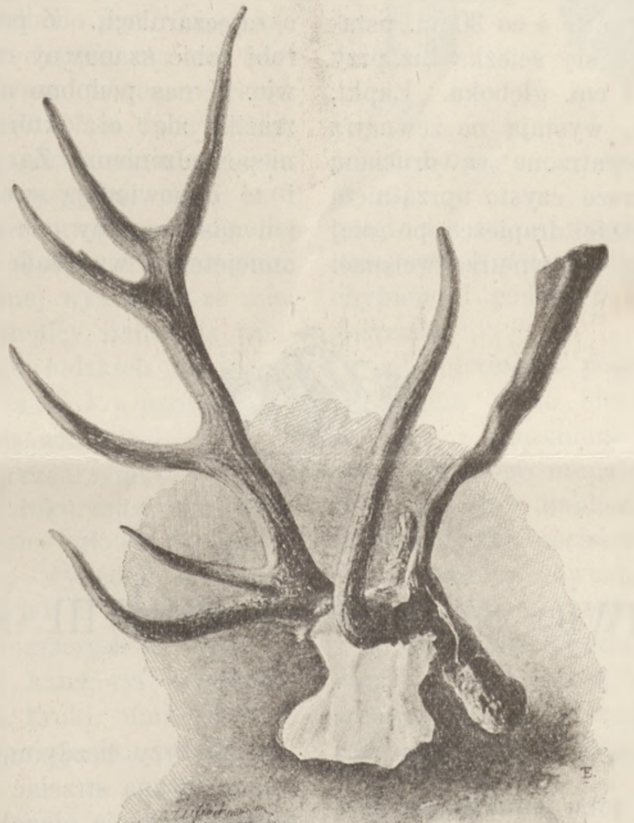
W „Wiener Jagdzeitung“ z roku 1873 znajduje się ciekawe sprawozdanie o rezultatach, osiągniętych przez założenie zajęczarni w Prinkenau w dolnym Szląsku:

„Na południowym stoku znaczniejszego pagórka, w okolicy zresztą płaskiej, wytyczono przestrzeń 3-morgową na gruncie suchym i lekkim, celem założenia zajęczarni. Założoną ona została według znanych prawideł Hartunga i tylko w jednym punkcie od nich odstąpiono. Podczas gdy Hartung zaleca, aby pręty płotu wspierały się dolnymi końcami na cegłach zagłębionych w ziemi, użytą tu została, celem lepszego powstrzymania drapieżców, 2-stopowa deska, położona na cegłach, na tej desce dopiero wyprowadzono płot, naturalnie o 2 stopy niższy. W zajęczarni założono 3 re-

mizy: jedna sosnowa ze sadzonek, z bryłami ziemi, dwie drugie z mięszaniny głogu, jałowca i szczodrzeńca. Do uprawy pól użyto bulwy *(topinambur)*, żyta świętojańskiego, owsa z koniczyną, łubinu żółtego, grochu, wyki i seradelli. Później część jedną zasiano rzepakiem, drugą żytem ozimem, a trzecią burakami. Części łubinu w jesieni nie zżęto, aby służyła zającom jako ochrona.

„Koszta ogrodzenia, nie licząc wartości materyałów, wraz z drutem, gwoździami, łapkami, żłobkami, wynosiły 27 talarów, 13 srebrnych groszy i 9 fenigów; obsiew pólek, sadzenie remiz i różne inne roboty kosztowały 17 talarów, 7 srebrnych groszy i 3 fenigi, razem tedy 44 talary, 21 srebrnych groszy. Z końcem marca zajęczarnia była gotową, nie można było jednak niestety z powodu łagodnej, bezśnieżnej zimy schwytać więcej jak 3 zajęczyce, które wraz z jednym gachem w dniu 5. kwietnia do ogrodu wpuszczone zostały. Zające rychło się przyzwyczaiły do nowego mieszkania i nie próbowały nawet podkopać się pod ogrodzenie, zdarzyło się natomiast, że pierwszy wpuszczony gach umknął, przeskoczywszy płot $7^1/_2$-stopowy. Na szczęście był zaraz drugi pod ręką, który miejsce zbiega zajął i przez całe lato obowiązki mu przeznaczone gorliwie wypełniał. W dniu 4. listopada miały być zające celem sortowania wyłapane, jak to Hartung przepisuje. Kosze już dłuższy czas przedtem były ustawione, a przez otwory w nich wchodziły i wychodziły zające zupełnie swobodnie: ponieważ jednak pokazało się, że gonione zające przeskakiwały przez dachy szopek, zamknięto im tę drogę drągami, umieszczonymi na dachach. Pierwotnie zawieszono w otworach ruchome klapy z drutu w drewnianych ramach. Zające pędzone odchylały po krótkiem namyśle klapy i właziły do koszów, wracały jednak w tej chwili nazad, odginając druty, które się za słabe okazały. Zmieniono więc klapy, używając według przepisu Hartunga drewienek, który były wprawdzie dostatecznie mocne, ale jako bardziej i zdaleka widoczne odstraszały zające. Dopiero po dłuższych usiłowaniach udało się kilka zajęcy w kosze schwytać. Przy dobywaniu złapanych zajęcy pokazał się nowy brak. Kosze są za wysokie, aby sięgnąć w nie ręką i wydostać zająca. Z drugiej strony są znów tak wąskie, że człowiek, który do kosza wlezie, nie może się swobodnie poruszać. Najtrudniej zaś jest zające, które się w rogi wciskają, bez uszkodzenia przytrzymać i wydobywać na zewnątrz. Ta też część metody Hartunga koniecznie wymaga ulepszeń; przy najbliższem sortowaniu próbować się będzie umieszczenia w otworach kosza łapek na tchórze. W ten sposób złapie się naturalnie tylko mało naraz zajęcy i potrzeba dla tych, które nadal w zajęczarni pozostać mają, przeznaczyć osobną, tymczasową zagrodę w zajęczarni. Natomiast zyskuje się pewność, że się zając zbytecznem gonieniem nie zmęczy i nie uszkodzi."

Dyrektor lasów Gölde pisze w *„Die Jagd und ihr Betrieb in Deuschland"*: „Zajęczarnie są w zasadzie dobre i zdołają zniszczony zwierzostan zajęcy napowrót poprawić. W wykonaniu jednak, a mianowicie pod względem technicznym, popełniały się i popełniają jeszcze zawsze błędy. Przyczyna złego leży głównie w tem, że przestrzeń użyta na zajęczarnie była za małą, skutkiem czego nie mają zające zamknięte dość ruchu, tyle im do utrzymania zdrowia potrzebnego. Chcąc zające hodować w miejscu zamkniętem, ściśle ogrodzonem, potrzeba na to przeznaczyć nie tylko przestrzeń 8 do 10 hektarów, ale postarać się i o to, aby na tej przestrzeni rosły trawy, konicz, rzepak, żyto, kartofle i t. d. Następnie mylnem jest zupełnie przypuszczenie, jakoby zając nigdy wody nie potrzebował. Na wolności nie tak łatwo zdarza się sposobność widzenia zajęcy pijących wodę, w zimie zaspokajają one pragnienie śniegiem, w lecie rosą i soczystemi ziołami. Że jednak zające wodę piją, jest rzeczą udowodnioną przez dość liczne spostrzeżenia. Zaleca się więc zakładanie zajęczarni w pobliżu wód płynących, co nie nastręcza trudności, o ile że w każdym większym rewirze znajduje się strumyczek, źródło i t. p. ku temu celowi odpowiednie. Zakładanie zajęczarni na przestrzeni tylko trzech morgów magdeburskich, nie można nazwać inaczej, jak zabawką myśliwską. Ne wiele jednak właścicieli zgodzi się ofiarować na ten cel 8 do 10 hektarów, aby jednak tę przestrzeń jak najlepiej wyzyskać, zaleca się połączyć ze zajęczarnią chów bażantów. Sztuczne bażantarnie muszą być ogrodzone, a ogrodzenie to im gęstsze i wyższe, tem lepsze; w praktyce jednak są to zwykle dość luźne płoty, które wprawdzie większe drapieżce powstrzymują, dla zajęczarni jednak są bez wartości. Ponieważ jednak i te liche płoty kosztują, a słupów zawsze tyle wyjdzie, ile na dobre ogrodzenie, jak ono dla zajęczarni jest potrzebne, to chodzi jedynie o większą ilość grodziwa i większą robotę. Gdy się połączy chów zajęcy z bażantarnią, staną się zbytecznemi owe skomplikowane przyrządy i środki, które w odosobnionych zajęczarniach są niezbędne, gdyż bażantarnia wymaga ustawicznego dozoru osobnego człowieka, który w swoim własnym interesie starać się bę-



Rogi jelenia myłkusa.
Ze zbiorów Dr. Jodłowskiego. Rys. W. Florkiewicz.

dzie o to, aby zwierzęta drapieżne wstępu do bażantarni nie miały. Płoty t. z. tykowe plotą się z prętów laskowych, albo z gałęzi świerkowych, lub jodłowych, 2·10 m. b. długości tak, że przez dwurazowe zgięcie między łatami dadzą płot m. b. wysoki. Słupy najlepsze dębowe, łaty zaś z tyk sosnowych, lub świerkowych, kłutych lub oprawionych. Ażeby zginania lub wplatania chrustu lub grodziwa nie utrudniać, nie bierze się grubszych prętów jak 3-cm. w środku, których to prętów od słupa do słupa, a więc na 3½ m. bieżących 2 kopy wychodzi, t. j. mniej więcej 34 sztuk na metr bieżący. Najtrwalsze pręty są z gałęzi starych świerków i jodeł. Wierzchem płotu dają się jeszcze dwa druty, przez co wysokość ogrodzenia bez znaczniejszych kosztów się zwiększy.

„Jeżeli grodziwo zagłębi się w ziemię na 4—6 cm. nie potrzebne są już spodem cegły tem więcej, że drapieżce starają się dostać do wnętrza przez otwarte łapki, które zawsze mają być otwarte i co 30 m. ustawione. Naokoło ogrodzenia robi się ścieżka tuż przy płocie na 1 metr szeroka, 3—4 cm. głęboka. Łapki, o których powyżej była mowa, wystają na zewnątrz 10—15 cm., a od wnętrza zaopatrzone są drucianą siatką. Ścieżka winna być zawsze czysto uprzątniętą z gałęzi i t. d. przez co chętnie drapieżce po niej krążą, szukając otworu, aby się do wnętrza wcisnąć. Po drodze znajdują łapki i chwytają się, chcąc się ich otworem do środka ogrodu dostać. Największą trudność przedstawia chwytanie zajęcy celem sortowania i sprowadzenia odpowiedniego stosunku płci t. j. 1 samca na 6 samic. Używają obecnie ku temu celowi przenośnych 2 m. wysokich płotów podwójnych, opatrzonych zapadającemi drzwiczkami, które się ustawiają równolegle do siebie w odstępie 30 centymetrowym. Na większej jednak przestrzeni nie zawsze mieć można tyle płotów i nie pozostaje nic innego, jak wpędzić zające gwałtem na mniejszą przestrzeń n. p. do gąszczu remizy i wyłapać sieciami. Nie ulega wątpliwości, że biorąc się do dzieła ze znajomością rzeczy, można chować z pożytkiem na jednej przestrzeni zające i bażanty, przez co koszta się zmniejszą, a przez lepsze ogrodzenie i dozór tak bażantarnia jak i zajęczarnia lepiej prosperować będą.“

Oto mniej więcej wszystko, co się da powiedzieć o zajęczarniach. Z przytoczonych opisów snadnie wyrobi sobie szanowny czytelnik własny sąd w tej sprawie. U nas podobno niema ani jednej zajęczarni, gdyż zrazili się ci, którzy je pozakładali, pierwszem niepowodzeniem. Że jednak Niemcy mają zajęczarnie i te odpowiadają swemu celowi, więc zdaje się, że i u nas mogłyby one mieć powodzenie, gdyby się kto umiejętnie i wytrwale chciał zabrać do dzieła.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W sprawie sztućca o małym kalibrze.

Makuniów, we wrześniu 1899.

W Nr. 13 i 15, *Łowca* z b. roku pojawiły się dwa artykuły w sprawie broni małokalibrowej w zastosowaniu do łowiectwa. Pierwszy artykuł, którego autorem był p. Przedrzymirski, sławił zalety takiej broni, drugi zaś podpisany S. był przeciwny używaniu jej, jako niebezpiecznej, niszczącej i „za dobrej.“

Strzelając ze sztućca 8-kalibrowego, magazynowego, już czas dłuższy, zyskałem i ja na tem polu nieco doświadczenia, a sądząc, że sprawa ta zainteresuje każdego myśliwego, pozwalam sobie wypowiedzieć w tej kwestyi moje zapatrywanie.

Sztuciec małokalibrowy, zastosowany w łowiectwie, jest bezwzględnie najlepszą dotąd wynalezioną bronią, ma jednakowoż, jak wszystko na tym świecie, zalety i wady, te ostatnie jednak gasną lub maleją do zera wobec pierwszych. Zalety, przewyższające broń małokalibrową w stosunku dodatnim nad wszystkie inne, są następujące:

1. Nadzwyczajna razancya, przez nią zaś celność strzału na możliwie dalekie przestrzenie — można bowiem strzelać tym samym wizierem (Aufsatz) do 500 kroków — (przy dobrym expresie najwyżej do 200 kroków).

2. Przy bezdymnym prochu i repetierowym systemie można strzelać na dalszą odległość do zwierza kilkakrotnie nie niepokojąc go i nie zmuszając go do ucieczki.

Te dwie zalety podnoszą wartość takiego sztućca ponad wszystkie inne i chociaż może p. Przedrzymirski w porównaniu łuku do expresa zadaleko poszedł, to zawsze prędzej się z nim zgodzę na tym punkcie, jak z szanownym autorem artykułu podpisanego: S., który woli strzelać z łuku, jak z „za dobrej“ strzelby i sądzę, że i nieboszczyk pan Muszalski rzuciłby łukiem w kąt, gdyby mu pod Kamieńcem kto był podał takiego Mannlichera, wpierw go o użyciu i skuteczności tej broni pouczywszy i skuteczniejby też z niego, jak z łuku Turczynów do siódmego nieba wyprawiał. A przyznaciemi też panowie myśliwi, że to nie lada przyjemność, jadąc naprzykład sankami na kajennę do sąsiada, trzepnąć na 200 lub więcej kroków myszkującego po polu lisa, lub posłać czasem skutecznie kulkę stadku dropi lub żórawi, stojących na oziminie, lub w końcu spuścić z pod obłoków bujającego orła, tak jak mnie się to przed dwoma miesiącami udało. Naturalnie, że to był zwykły przypadek, zabić kulą w lot ptaka na większą odległość, ale ręczę panom, że z inną

bronią i ten przypadek się nie zdarzy. A cóż mówić dopiero, gdy Dyana pozwoli zabić rogacza, lub jelenia na 200 kroków, gdy kula przelecieć musi ponad jary i przepaście nim ugrzęźnie w ciele szlachetnego zwierza! — Taki jeden tryumf dla myśliwego więcej wart, niż dziesięć innych i wynagrodzi nie jeden zawód.

Mówmy teraz o wadach, jest ich dwie także:

1 Broń jest niebezpieczną, bo kula idzie światami.

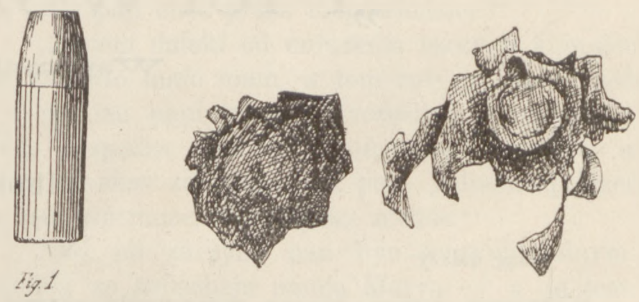
2. Pocisk z niej ma zanadto wielką siłę perkusyjną na bliższej przestrzeni, wskutek czego zanadto szybko przez zwierzę przechodzi, które po strzale nie pada na miejscu.

Co do pierwszego punktu, to powiem, że już strzeliłem dwieście z górą razy z mego sztućca na rozmaite odległości i nie miałem jeszcze tego uczucia niepokoju, czy moja kula nie poszła gdzieś światami i kogo nie zabiła. Strzelam dalej wtedy, gdy cel jest niżej trochę odemnie na tle ziemi, od której kula odbiwszy się, pędzi w górę, (kąt odbicia jest równy kątowi uderzenia), jest więc zupełnie bezpieczną tem bardziej, że zmuszona przebyć zawsze pewną warstwę ziemi, traci siłę i deformuje się. Strzelam dalej wtedy, gdy cel jest wyżej odemnie na pagórku na horyzoncie. Kula jeżeli chybi idzie dalej co raz wyżej, jeżeli trafi odbije się od ziemi i leci w górę prawie prostopadle, aż gdzieś spadnie jako kawałek ołowiu. Nie strzelam tylko wtedy, gdy mój cel w równej wysokości ze mną (przypuśćmy, ptak siedzący na kopicy siana) na wielkiej równinie naprzeciw ludzi, lub ludzkich mieszkań, ale wtedy nie strzelałbym tak samo i z expresa, bo kula każda daleko, choć nie centrownie, leci.

Zresztą słusznie mówi p. Przedrzymirski, że kto strzela i jakąkolwiek broń ma w ręku, musi być ostrożnym i rozważnym, czyli musi mieć głowę na karku. Wtedy równie trudno będzie o wypadek z bronią, w której tkwi dalekonośna kula, jak i ze strzelbą nabitą śrutem. Zresztą wypadki nieszczęśliwe były, są i będą na tym świecie w każdej kategoryi przymysłu ludzkiego, bo inaczej ludzie, jak kruki, umieraliby ze starości, (bo i choroba zwykle z przypadku przechodzi, mniejsza o to czy z postrzału, wykolejenia pociągu, lub przeziębienia) i inaczej żleby było ludziom na świecie, a szczególnie sukcesorom.

Co się tyczy drugiej wady, to, by zmniejszyć siłę perkusyi, wymyślono kulę ołowianą o półpłaszczu stalowym, który szczytu jej nie przykrywa, tak zwaną kulę „Dum dum“, o której niedawno wiele pisano, a którą Anglia w swej armii kolonialnej zaprowadziła, by skuteczniej tępić Indyan i Murzynów bez brania ich w niewolę. Kula ta (patrz fig I) deformuje się w ciele, jak tu niżej w rysunku uwidocznione i sprawia straszne spustoszenia, ale tylko na dalszą odległość (wojskowa średnia odległość liczy się do 1000 kroków). W łowiectwie taka kula może mieć zastosowanie tylko do lisów, psów włóczących się po polu — wreszcie do głuszców, ale na podjazd do rogaczy i jeleni jest niepraktyczną, gdyż strzela się wtedy przeciętnie na 100 kroków, a na tę odległość perkusya jest jeszcze tak silną, że kula rzadko się kiedy deformuje i za szybko przechodzi.

W tym roku zabiłem dziesięć rogaczy takiemi kulami. Z tych tylko trzy, a to jeden trafiony w szyję,



„Dum-Dum.“ Kula „Dum-Dum“ w mięśniach.

drugi w oko, a trzeci w krzyże, rulowały w ogniu, inne, z nich dwa trafione w samo serce, uciekały jak chybione i padały o 100 i więcej kroków od miejsca postrzału.

Konferencya pokojowa w Hadze potępiła kule „dum-dum“ jako identyczne z kulami explodującemi w ciele i zabronione przez prawo międzynarodowe, skutkiem czego ministerstwo wojny angielskie pod naciskiem opinii publicznej wydało reskrypt zakazujący używania tych pocisków. Był to jednak tylko podstęp. Wprowadzono bowiem równocześnie inne kule, nie różniące się na pozór od zwykłych kul używanych w armiach, ale straszniejsze w skutkach od kul „dum-dum.“ Jest to kula w całości okryta stalowym płaszczem, jednak w szczycie próżna, ołów bowiem wypełnia ją tylko w dolnej części. Ta kula działa expansywnie strasznie, bo pęka w ciele na drobne kawałki. Tych kul w handlu jeszcze nie ma.



Kula expansywna po wejściu w ciało miękkie (np. w mięśnie, glinę).

Sprowadziłem niedawno od Rotha z Wiednia kule okryte pół płaszczem stalowym, z dziurą w szczycie (fig 2). Te są o wiele lepsze, pustoszą w środku, lecz pęknięcie i część ich główna wychodzi na wylot i są bez kwestyi najlepszymi i najśmiertelniejszymi pociskami, jakie wynaleziono.

Są również kule o całym płaszczu stalowym expansywne, (fig 3) ale te trudniej expandują i mogą

być tylko użyte z wielkim skutkiem na bardzo grubego zwierza: jak słoń, nosorożce i t. p.

Streszczając krótko moje powyższe wywody powiem stanowczo, że sztuciec małokalibrowy z kulą expansywną o półpłaszczu stalowym w lufie jest bronią doskonałą, a w łowach podjazdowych i wogóle takich, gdzie łatwo do dalekiego strzału przyjść może dla dobrze strzelającego myśliwego, jest nieocenionym skarbem i żadna inna broń równać się z nią nie może.

Albert Mniszek.

„Pierwsza miłość.“

Wspomnienie myśliwego.

Przez

Alberta Mniszka.

Ciąg dalszy.

„Widocznie panna Marya dotrzymała słowa“ — przerwała mi ciotka — „poznałam ją tej zimy na Riwierze; jest to córka śp. hr. Jana Zapolskiego. Mówiła mi, że w lecie przyjedzie do Woronnego, by poznać swój majątek i zaznać wiejskiej ciszy, obiecała też mnie odwiedzić tutaj, należy się więc jej spodziewać tymi dniami.“

„Musi to być już zapewne starsza osoba.“ — wtrąciłem niby od niechcenia — „jeżeli tak sama podróżuje i swoją wolą zupełnie rozporządza.“

„Panna Marya“ — odpowiedziała ciotka — „ma lat 21 i ma przy sobie starszą kuzynkę, Amerykankę, miss Klarę, ale chyba na to tylko, żeby pozory zachować i wymaganiom światowym zadość uczynić, gdyż w rzeczy samej robi to, co się jej podoba, a poczciwa ciocia Klara jest na jej usługi. Panna Marya jest wykształconą i starannie wychowaną panienką, ale po amerykańsku, to jest swobodnie, bez tych reguł europejskich, jakie robią niewolnicą pannę, aż do pójścia za mąż, Jest ekscentryczną, rozmiłowaną w wszelkiego rodzaju sportach, wesołą i jak wspomniałam, swobodną. Przez całe czas jej pobytu na Riwierze, otaczał ją rój wielbicieli, których jednak trzymała z daleka grzecznie ale stanowczo.— „Oni, jak są tu wszyscy“, mówiła mi raz panna Marya, „starają się o mnie, ale kochają tylko mój majątek.“

Po tem wszystkiem, co teraz usłyszałem i wobec spodziewanej bytności panny Zapolskiej w Krasnopolu, nie mogłem i nie chciałem zresztą, ukrywać dłużej tego, co z początku zataiłem. Opowiedziałem więc z wszelką dokładnością o dzisiejszem spotkaniu. „Ach dzieci, jeszcze dzieci“ zawołała śmiejąc się ciotka, gdy jej opowiedziałem o szczegółach poznania panny Maryi, „jednak nie radziłabym wam narzucać się bardzo pięknej Amerykance, by amor serc waszych nie zranił“ dodała figlarnie, a mój ojciec śmiejąc się dorzucił:

„Wakacye miną, jak z bicza wystrzelił i smutno będzie z sercem zranionem do książek się zabierać!“

„Nie łatwo to — zawołałem wesoło — tak prędko się zakochać, ale proszę mi powiedzieć — spytałem, zwracając się do ciotki — jakim sposobem panna Marya mówi tak dobrze po polsku, gdy nigdy w kraju nie mieszkała i wychowana była za oceanem.“

„Hrabia Jan — odrzekła ciotka — oddając córkę rodzinie żony, przydał do niej piastunkę, Polkę, rodem z Warszawy, która po dziś dzień w jej służebnym orszaku się znajduje. Panna Marya nauczyła się zresztą po polsku od emigrantów w Ameryce zamieszkałych, czuje się Polką i zawstydziłaby nie jedną z naszych panien, wiadomościami z historyi i literatury ojczystej.“

W kilka dni później, odświeżeni i starannie ubrani, jechaliśmy, Stefan i ja, w odwiedziny do hrabianki Maryi. Minęliśmy wieś Woronne, bramę dworską z herbami Zapolskich, przebyliśmy długi, stary i prześlicznie utrzymany park, objechaliśmy ogromny, okrągły gazon i stanęliśmy przed dużym, ozdobnym w arkady gankiem. Wyszedł stary kamerdyner, który nas uprzejmie o nazwisko zapytał i poszedł nas zaanonsować, gdy tymczasem inna służba pomogła nam zdjąć zarzutki i otrzepywała nas z kurzu. Weszliśmy do ogromnej halli, z której prowadziły przecudne marmurowe schody do wyższych piętr pałacu. Na słupach stały rzeźby przedstawiające figury mitologiczne, prawdziwe arcydzieła sztuki. Na ścianach wisiały rogi jeleni, łosiów, bawołów i podzwrotnikowych antylop. W kącie stał cały wypchany żubr białowieski, na dębowej mchem ubranej podstawie, do której przybita była tabliczka, z nazwiskiem hrabiego, ojca dzisiejszej właścicielki i datą zabicia zwierzęcia. U sufitu niewidzialnie zawieszone z rozpiętemi skrzydły, orły i sępy zdawały się bujać w przestworzu. Na kamiennej mozajkowej posadzce leżały skóry łosie, dzicze, lwie i tygrysie.

Na wspaniałych schodach ukazał się stary kamerdyner i grzecznym ukłonem dał nam do zrozumienia, że prosi, aby iść za nim. Przeszliśmy przez kilka dużych sal, zdobnych w rzeźby i wspaniałe obrazy, o artystycznie rzeźbionych sufitach i weszliśmy do małego buduarku, którego posadzka i ściany pokryte były jasną, w różowe kwiaty, lśniącą materyą. „Proszę panów chwileczkę poczekać, panna hrabianka zaraz przyjdzie“, rzekł nam stary sługa i zniknął za bogatą portyerą. Korzystając z czasu rozejrzeliśmy się po pokoju. Dwa duże gotyckie okna dawały widok na staw

i lasek za wodą. Sufit wypukły zdobiło malowidło przedstawiające pochód tryumfalny Atheny, na ścianach wisiały obrazy mistrzów starej holenderskiej i włoskiej szkoły, jak Van Dycka, Rubensa, Caravagia, Tintoretta i innych. Mnóstwo sprzętów wykwintnych, stylowych, rozrzuconych w tym artystycznym nieładzie świadczącym o smaku i poczuciu piękna, zapełniało to prześliczne gniazdko, w którem brakowało tylko ptaszka. Ale i ten zjawił się niebawem. Lekko drgnęła portyera i weszła panna Marya w białej, batystowej sukience, uśmiechnięta i wesoła.

„Witam panów — rzekła uprzejmie — spodziewałam się ich dzisiaj. Może przejdziemy na terasę? przedstawię panów mojej ciotce Klarze. Czy panowie mówią po angielsku? Pytam się dlatego, bo moja ciotka innym językiem zupełnie nie włada."

Wymówiła to wszystko jednym tchem, nie dając nam czasu na wymówienie kilka słów przywitania.

„Mówimy nie źle, a rozumiemy wszystko" — odpowiedział Stefan."

„To bardzo szczęśliwie — zawołała panna Zapolska — moja ciotka będzie panami uradowaną."

Za chwilę weszliśmy na obszerną, opartą na ciosowych arkadach terasę, pełną zieleni i kwiatów. Oczom naszym przedstawił się śliczny widok. Pod nami rozciągały się pyszne, szmaragdowe, girlandami krzewów i klombów przystrojone gazony. Przed nami rozlewał się majestatyczny staw, w którego lustrze odbijało się błękitne, pstre obłoczkami niebo. Za wodą złociły się dojrzałe zboża. Wiatr bujał wesoło po falach wód i oczeretach i leciał hen daleko w otwarty, niezmierzony step!

„Ach jak tu ślicznie -- zawołał mój przyjaciel — tu tylko marzyć i być szczęśliwym."

„To też nią jestem — odrzekła urocza gosposia — i żałuję tylko, że wcześniej nie poznałam tej miłej ustroni. Nie będzie ona też więcej świeciła pustką!"

Ach jakżeż się myliła, mówiąc to panna Marya, ale któż mógł przeczuć wtedy, że w to śliczne, ciche i szczęśliwe gniazdko, uderzy niebawem piorun nieszczęścia!

Na terasie zostaliśmy przedstawieni pani Klarze, osobie lat pięćdziesięciu, o miłej, sympatycznej powierzchowności. Wszczęła się rozmowa ogólna o tem i owem, w angielskim języku. Panna Klara wypytywała nas o stosunki, zwyczaje i okolicę, do której przybyła. Wypytywała się również o moją ciotkę, którą w tym roku za granicą poznała, „Pani Helena, rzekła, zrobiła na nas nadzwyczaj miłe wrażenie — wybieramy się tymi dniami do niej w odwiedziny."

Stefan, gadatliwszy odemnie, jak i nierównie bieglejszy w angielszczyźnie, bawił więcej miss Klarę, gdy ja rozmawiałem głównie z panną Maryą. Rozmowa przeskakiwała z tematu na temat, aż w końcu zaczęliśmy dużo mówić i opowiadać o polowaniu.

Panna Zapolska, jak się pokazało, polowała już bardzo wiele. Zabiła w życiu tysiące kuropatw, bażantów i zajęcy. Na błota zaś wybrała się pierwszy raz wtedy, gdy nas spotkała i udało się jej, jak na pierwszy raz, nie źle, zabiła bowiem kilka kszyków, dubeltów i kaczek.

Wkrótce podano na terasie herbatę, owoce i chłodzące napoje. Z rozkoszą wpatrywałem się w śliczną twarz mej nowej znajomej i myślałem sobie, jak szczęśliwym będzie ten, który posiądzie na zawsze tę łagodną i wesołą duszę.

„O czem pan myśli w tej chwili", zagadnęła mnie panna Marya.

„Myślę, odpowiedziałem, jak wielkie szczęście daje Stwórca istocie ludzkiej, jeżeli ją stwarza na to tylko, by uszczęśliwiała drugich."

„Co pan chce przez to powiedzieć?"

„Jestem daleki od mówienia czczych komplementów, zanadto mało mam w tem rutyny, sądzę jednak, że w pobliżu pani wszyscy szczęśliwi być muszą i jak słońce rozpędza chmury i ołowiane niebo w szafir wolny od skaz zamienia, tak pani jednem spojrzeniem uszczęśliwić może, kogo tylko zechce."

„Coś mi zaczyna pan być sentymentalnym — zawołała ze śmiechem panna Marya — a ja tego nie lubię. Mówmy o czem innem, o wiele ciekawszem. Marzeniem mojem jest, zabić wilka! Ma ich być dużo w tej okolicy. Służba lasowa doniosła mi właśnie wczoraj, że w niedalekiej kniejce wywiodła się w tym roku rodzina wilcza. Chciałabym na nią zapolować, ale nie mam psów gończych, ani też wyobrażenia, jak się takie urządzają łowy.

„Proszę się z tem udać do mego kolegi — zawołałem żywo — jego ojciec jest zapalonym myśliwym, ma psy i sieci z przyjemnością polowanie urządzi."

„Ależ naturalnie! — odpowiedział, choć jeszcze nie pytany Stefan, który jednem uchem łowił każde słowo naszej rozmowy — ojciec mój się tem zajmie i sam z dokładną znajomością rzeczy, wszystko urządzi, tylko na wilki poluje się we wrześniu, a nie wiem czy panie jeszcze będą w tym czasie w Woronnem."

„Mamy zamiar bawić tu do zimy — odpowiedziała urocza gosposia — zresztą choćby dla samego polowania wypadało nam tu dłużej pozostać, to pozostaniemy, bo taka interesująca zabawa nie prędko się przytrafi."

Zaczęliśmy mówić o polowaniach na wilki, tłumaczyć naszej myśliwej jak takie urządzają się łowy, godzina leciała za godziną — trzeba było już jechać. Przy pożegnaniu oświadczyły mi panie, że chcą nazajutrz być w Krasnopolu.

Stefan pojechał do siebie, ja zaś wracałem do domu z dziwnem jakiemś, całkiem nowem uczuciem, z którego nie mogłem zdać sobie sprawy. Czy kochałem już wtedy pannę Zapolską po dwukrotnem jej widzeniu — nie wiem. Wiem to jedno, że tylko o niej ciągle myślałem, ona jedna była dla mnie wszystkiem, pamiętałem każde jej słowo, a śmiech jej uroczy dzwonił mi w uszach jak jakaś przecudna, nigdy nie dająca się zapomnieć melodya.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sprawozdania delegatów i członków.

Z powiatu liskiego.

Powiat nasz podgórski — rozległy, jak małe państewko, mógłby obfitować w świetne polowania.

Ciągnące się od strony południowej i graniczące z Węgrami — lasy podkarpackie, powinny mieścić grubego zwierza; centrum zaś powiatu, o okolicy pagórkowatej, poprzerywanej zarośniętymi potokami — powinno znowu w drobniejszą zwierzynę obfitować.

Tak w ogóle przypuszczaćby należało, gdyby ktoś obcy, rozwinął przed sobą kartę powiatu liskiego i teren rozpoznawał.

Smutno jednak jest u nas pod tym względem, szczególnie zaś dziwić się wypada, że na opłakany stan łowiectwa w tut. powiecie — składają się przeważnie ludzie, mający pretensyę do nazwy „myśliwego.“

Co znaczą ustawy, ck. Starostwa, żandarmerya — gdy samo społeczeństwo, jako takie — nie ma poszanowania dla ustaw.

W każdej wsi, po kilku kłusowników, a w dodatku tak zwani: „myśliwi“ urządają nawet wspólne polowania z kłusownikami.

Czy czas ochronny, lub nie — strzela się wszystko. Łanka, sarna, oto przedmiot nadzwyczajnej obławy!

Z całego powiatu, liczącego 156 gmin katastralnych — zaledwie w Olszanicy, Ustyanowej, Myczkowcach, Hoszowie, Rabem ad Ustrzyki, Skorodnem, Nowosiółkach, Berezce, Rudence, Bernihowej górnej, Dwerniku, Ciśnie, Wetlinie, Smolniku ad Baligród i w kilku gminach, w których prawo polowania, dzierzawią Anglicy z Ropienki — jest ustawa łowiecka przestrzeganą.

Co jednak pocznie właściciel polowania, szanujący zwierzynę, gdy jest naokoło otoczony kłusownikami i sąsiadami „myśliwymi.“

Jeden sąsiad szanuje, drugi stanie na granicy, puści psy i strzela, co przyjdzie pod lufę.

Jest przecież nadzieja, że podniosą się stosunki łowieckie w tutejszym powiecie, a w szczególności — w kluczu liskim, majętności rodzinnej hr. Krasickich. Mieszka bowiem obecnie w Lisku zawołany i prawdziwy myśliwy — August hr. Krasicki, syn hr. Ignacego.

Już w pierwszym, bieżącym roku tj. od kiedy hr. August w Lisku osiadł i z całą energią zabrał się do podniesienia łowiectwa — stan zajęcy, sarn i kuropatw znacznie się pomnożył.

Zapolował jednak we wrześniu sąsiad na zające, sarny wystrzelał kłusownik i po części znowu wróciły dawne stosunki.

Dziwić się temu wszakże nie można, bo nikt nie jest w stanie ustrzedz się domowego złodzieja.

Klucz liskiego majątku obejmuje kilkanaście wsi i posiada rozległe lasy; gdyby zaś chcieć na każdym kroku upilnować kłusownika i sąsiada „myśliwego“ — wypadałoby na 100 morgów lasu — co najmniej dziesięciu trażników łowieckich utrzymywać.

Spodziewać się jednak należy, że przy sprężytości młodego hr. Krasickiego władze będą starały się ściślej przestrzegać ustawy łowieckiej i nie puszczą bezkarnie żadnych przestępstw na polu kłusownictwa popełnionych.

Przykro to bardzo, gdy nie można przesłać wykazu ubitej zwierzyny.

Niech przynajmniej czytający „Łowca“, z tutejszego powiatu — wezmą sobie do serca opłakany stan łowiectwa, odmienią system polowania i większą opieką otoczą zwierzostan pożyteczny — nie wykluczając z tej opieki kłusowników i sąsiadów „myśliwych.“

Artur Śląski.

KORESPONDENCYE.

Zielenica, w październiku 1899.

Polowanie na jelenie w górach nadwórniańskich.

Tegoroczny wynik polowania na jelenie w lasach należących do ck. Zarządów domen Zielona, Worochta, Tatarów był bardzo pomyślny. Ubito 13 jeleni, z tych 2 ośmnastaki, 2 czternastaki, 3 dwunastaki, 3 dziesiątaki, 3 ósmaki. Rewiry te dzierżawi książę Henryk Lichtenstein. Jako zamiłowany myśliwy nie szczędzi grosza, aby stan zwierzyny pomnożyć — to też dziś można powiedzieć, że rewiry te należą do jednych z lepszych kniei na grubego zwierza.

Jako goście księcia Lichtensteina brali udział w polowaniu: książę Franciszek Lichtenstein, były poseł na dworze rosyjskim, książę Dymidow wraz z żoną, lord Garstin, książę Braganza i artysta malarz, karykaturzysta Pick. Najwięcej szczęście sprzyjało Pickowi, albowiem przy podchodzie rannym dnia 27 wrześnią „pod Błażowem“, dubletem ubił dwa ośmnastaki pierwszej jakości (Urhirsche). Formacya korony i rozłożenie rogów budziły podziw w obecnych myśliwych.

W niemały podziw wprowadzała księżna Dymidow, która swą wytrzymałością w chodzeniu po górach i jarach i znoszeniu niewygód, mogłaby iść w zawody z nie-

jednym nemrodem — jednakowoż bogini Dyana nie wynagrodziła jej trudów, gdyż udało się jej podejść tylko jednego jelenia, do którego dała trzy strzały — bez skutku.

Z. Pakoszewski, ck. leśniczy.

Siechów, 20 października 1899.

Od trzydziestu lat polując w graniczącym mi, zwyczajnie dość pustym rewirze Sokolów, będącym obecnie własnością Stanisława Matkowskiego, muszę przyznać tym słuszność, którzy twierdzą, iż „gdzie bażant tam i lis, gdzie myśliwy tam i zwierz.“

Tę różnorodność zwierzyny, do jakiej doprowadził miły i gościnny gospodarz, poświadczyć mogą ci wszyscy, którzy brali udział w tych godach myśliwskich, a w dniach 16, 17 i 18 b. m.

Rewir ten w większej części podmokły, dla zwierza zdawałoby się nie odpowiedni, a tem mniej dla bażanta i kopery; jedna słonka w latach zwyczajnych podczas ciągu jesiennego w większej ilości tu przebywa.

Co może dobra wola i stałe przedsięwzięcie, poświadczyć może rozkład ubitej zwierzyny w tych trzech dniach, a mianowicie: 1 cietrzew, 2 słonki (tych tego roku nie było), 15 bażantów, 3 rogacze, 9 lisów, 72 zajęcy, razem 102 sztuk.

Między drużyną myśliwską był druhom myśliwskim dobrze znany K. M., którego, jak zwyczajnie, Dyana tak i tu nie opuściła, a który czwartą część, bo 25 sztuk ubił. Niech mu Bóg tego nie pamięta.

Imponująca jak na nasze strony była ilość zajęcy. — Bażantów (dziko chowanych), gdyby nie słota, byłoby padło więcej; w rewirze tym spodziewanych było do 80 sztuk. Niespodzianką wielką była ta ilość lisów, pomimo skrupulatnego tępienia, sprawdziło się: gdzie bażant tam lis.

Karol Dzieduszycki, delegat stryjski.

Kalendarz łowiecki.

Listopad.

Wolno strzelać wszystko oprócz jeleni. Gołębie dzikie i przepiórki chyba tylko wyjątkowo korzystać będą z ochrony, jaką im w tym miesiącu daje ustawa.

Od Administracyi.

Prosimy Szanownych naszych Czytelników, aby w interesie wydawnictwa zwracali łaskawą uwagę na nasz dział inseratowy. Jest on obecnie tak różnorodny, że dla pragnących czynić zakupy, stanowi prawdziwy przewodnik. Prosimy jednak przy ewentualnych zamówieniach powoływać się na „Łowca.“

Zwracamy także uwagę pp. właścicieli polowań na anons p. Chrypiaka, który podobnie jak w roku zeszłym **zobowiązuje** *się zakupywać* **wszelkie** *partye zwierzyny* **w każdej porze,** *po cenach* **definitywnie** *oznaczonych.*

Kronika.

Polowanie na jelenie. Arcyksiążę Leopold Salwator polował w bieżącym sezonie na jelenie w Mizuniu i w Skolem i zabił 7 jeleni. Towarzysz jego pułkownik br. Giesl zabił 3 jelenie. Arcyksiążę położył między innymi kapitalnego szesnastaka. Rogi jego miały wysokości 1 m., 20 cm., rozpiętość wynosiła 1 m. 14 cm., a waga 9 klg. 80 dkgr. Dnia 5 bm. Arcyksiążę zabił na *coup double* dwa kapitalne jelenie.

Król Humbert na polowaniu. Król włoski podczas feryj parlamentarnych polował na dzikich stokach Alp piemonckich na kozice. W dolinie Savary zgromadzają się naganiacze, król przybywa konno z orszakiem o godz. 9-ej rano i w towarzystwie dyżurnego oficera, oraz swego strzelca zajmuje stanowisko pod skałą w gęstwinie lasu sosnowego. Na pierwszem tegorocznem polowaniu dopiero o godz 11-ej ukazał się pierwszy kozioł i padł pod strzałem królewskiego myśliwego. Potem nastąpiła długa pauza, podczas której król zapalił fajkę i czytał gazety. Później ukazywały się całe stada kozłów, których do godz. 4-ej ubił 12, a nadto 4 kozice. Jednego z naganiaczy — było ich 150 — zranił odłam spadającej skały.

Biała kuropatwa. Do „Weidmannsheil“ donosi p. Heytmanek, że w okolicy Oedenburga w Szarfeld zabił p. Francon kuropatwę o śnieżno białem upierzeniu, bez żadnej odmiany.

Kauczyński i Oberski

ulica Karola Ludwika 7 LWÓW filia ulica Halicka 6

Nowości w zabawkach dziecięcych.

Taniej jak w Wiedniu!

Lawn-tennisy

angielskie i amerykańskie.

Lawn-tennis kompletny

angielski złr. 25·—.

Rakiety po	zlr. 3·25
„ „	„ 4·50
„ „	„ 5·—
„ „	„ 6·50
„ „	„ 7·50

i wyżej.

Piłki obciągane

tuzin złr. **5·50.**

Uzyskaliśmy od firmy amerykańskiej **z Nowego Yorku**

FONOGRAFY

systemu Edisona na wyłączną sprzedaż po cenach fabrycznych

po złr. 20·—

Od firm szwajcarskich i lipskich najlepsze

instrumenta muzyczne

„Symphoniony“

po złr. 6·50

samogrające po złr. 10·50, 15·—, 22.—, 35 i wyżej.

Kauczyński i Oberski

ul. Karola Ludwika l. 7 — LWÓW — Filia ul. Halicka l. 6

Cenniki ilustrowane gratis. 103—3—6

ROK ZAŁOŻENIA 1872.

C. k. uprz. pierwsza austr. 105—2-4

FABRYKA KONSERW ZUPOWYCH

Zygmunta Ruckera, we Lwowie

wyrabia konserwy grochowe, kminkowe, soczewicowe itd. w kostkach obliczonych na jedną porcyę zupy. Znakomity i bardzo tani posiłek na polowania, wycieczki itd. Sposób przyrządzania szybki i wygodny. Wysyłka na prowincyę odwrotną pocztą. — 1 sztuk **20 ct., 100** sztuk **1 zlr. 75 ct.**

JÓZEF FLAKGWICZ

Nowo otworzony handel towarów korzennych, delikatesów i win

Lwów, Akademicka 28.

poleca świeży towar po niskich cenach.

Kupuje i sprzedaje wszelką **dziczyznę** en gros i detail.

Wszelkie zamówienia z prowincyi odwrotnie. 94—2—6

H. DATTNERA

Biuro

Pierwszorzędnych kopalń Węgla kamiennego i koksu

poleca do wszystkich stacyi wagonami

najlepszy Węgiel górno-śląski, dla maszyn parowych i Węgiel salonowy dla opalania pieców.

138—1--12

Ceny stałe i umiarkowane.

Adres dla telegramów: „Dattner“, Lwów.

Sassów!

Sławne bibułki cygaretowe **Sassowskie**, przerabia na **książeczki** (do kręconych papierosów), oraz na **tutki cygaretowe** **wyłącznie** firma

S. Wierusz Niemojowski

we Lwowie.

Do nabycia we wszystkich trafikach.

54—15—?

78—8—?

CENNIK SKŁADU WIN

Alojzego Jahla

Lwów. ul. Sykstuska l. 47.

Castelli czerwone	litr	—	złr. 36	ct.
Opollo „	„	—	„ 44	„
Spalato „	„	—	„ 48	„
Istryańskie „	„	—	„ 50	„
Lissa „	„	—	„ 60	„
Alcamo biało	„	—	„ 40	„
Parsurica „	„	—	„ 56	„
Marsala „	„	1	„ —	„

ZA DOBOROWĄ BROŃ MEDAL SREBRNY.

Pracownia rusznikarska

W. SZADKOWSKI i S. KOPCZYŃSKI

we Lwowie, plac Bernardyński liczba l.

Wyrabia i utrzymuje na składzie **wypróbowaną broń myśliwską wszelkich systemów,** jakoteż **przerabia ze starych na najnowsze systemy.**

Zamówienia i reperacye tak w miejscu, jak i na prowincyi wykonywa szybko starannie. 134—1—8

Dla zarządów dóbr i gorzelń!

Oliwę do maszyn
Oliwiarki do maszyn,
Pasy skórzane do maszyn,
Rzemyki do szycia pasów,
Śruby i nity do pasów,
Pyrolinę do taniego oświetlenia,
Latarnie gospodarskie na pyrolinę, oliwę i naftę,
Pochodnie naftowe i smołowe,
Węże konopne,
Węże gumowe,
Węże spiralne,
Płyty gumowe i asbestowe,
Sznury gumowe,
Pierścienie gumowe,
Kule gumowe do wentylów,
Szkło do wodowskazów,
Dwusiarczan wapniowy,
Szczotki do kadzi, itp. itp.

polecają po cenach możliwie najtańszych

Friedrich i Beacock

Lwów, ul. Hetmańska liczba 4.

102—2—2 obok cukierni Wgo Grossa.

WAŻNE dla P. T. WŁAŚCICIELI POLOWAŃ!

P. Jan Chrypiak handlarz zwierzyny we Lwowie (ul. Zyblikiewicza l. 17), **zobowiązuje się zakupywać** wszelkie partye zabitej zwierzyny **na miejscu polowania i w każdym czasie** (bez względu na odwilż). Zastrzega sobie odstawę do najbliższej stacyi kolejowej. Na telegraficzne zawiadomienie o mającem nastąpić większem polowaniu (60 do 70 zajęcy), gotów jest osobiście udać się na miejsce, celem odebrania zwierzyny i przypilnowania jej należytego opakowania, wobec czego odpada właścicielowi kłopot z nadaniem zwierzyny na kolej. Ceny ofiarowuje następujące:

Za 1 kg. dzika wagi do 40 kg. 25 ct.	Za 1 kg. rogacza . . 40 ct.	Za jarząbka 1 sztukę . 110 ct.	Za cietrzowia 1 sztukę . . 120 ct.
„ „ 70 „ 15 „	„ zająca 1 sztukę . . 90 „	„ słonke 1 sztukę . . 100 „	„ kaczkę krzyżówkę 1 szt. 50 „
131—1—6 wyższej „ 10 „	„ 1 parę bażantów . . 180 „	„ kuropatwę 1 sztukę . 60 „	„ kaczkę cyrankę 1 sztukę 40 „

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**

Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.